

Marta Kwaśnicka: Wtorek (Pożegnanie Benedykta)

Szczęśliwi nabywcy nosili pod pachami po kilka egzemplarzy „L'Osservatore Romano” - eschatologię w wydaniu gazetowym



Szczęśliwi nabywcy nosili pod pachami po kilka egzemplarzy „L'Osservatore Romano” - eschatologię w wydaniu gazetowym

We wtorek przypadkowo trafiliśmy na Plac Św. Piotra. Nie planowaliśmy tego. Najpierw od rana wygrzewałam się na słońcu w zacisznym zakątku Wyspy Tyberyjskiej, przy grobie świętego Bartłomieja Apostoła. Przejaśniło się i, jeśli usiadło się w miejscu osłoniętym od wiatru, temperatura była niemal letnia. Nam, przyjezdnym z północy, przesiadywanie na słońcu sprawiało wyjątkową

przyjemność. W Krakowie od dwóch miesięcy wszystko było koloru rozwodnionej szarej farby, tutaj kamienie były już ciepłe, niebo nabierało zaś włoskiego koloru lub ja może, coraz bardziej wypoczęta, zaczęłam je wreszcie zauważać. Potem jednak wciągnął nas Rzym, bo miasta mają swoją grawitację, cel, do którego mimowolnie podąża się ulicami, zwłaszcza jeśli poruszać się po nich bez wytyczonego planu. Punkt ciężkości Rzymu znajdował się zaś teraz na Watykanie. Broniliśmy się długo, zaglądaliśmy w opustoszałe zaułki, do kościołów, które były jeszcze świątyniami, pełnymi wiekowych zapachów i sparciałych płócien, i do takich, w których mieściły się teraz biura projektowe. Wchodziliśmy też do antykwariatów, aby oglądać ich zbiory. Był to jeden z naszych rytuałów, poszukiwanie w obcym mieście jakiejś książki, czasami konkretnej, innym razem kupowanie znalezionej zupełnie przypadkowo, oglądanie niedzisiejszych twarzy bukinistów i antykwariuszy, którzy zwykli pokazywać nam swoje rarytasy za setki i tysiące euro, a my – kiwać głową z udawanym znastwem, dusząc w sobie śmiech i mając do wydania najwyżej dwadzieścia.

Rozpoczęły się zatem łowy na papier. W jednym ze sklepików spotkaliśmy Włocha, który utrzymywał się ze sprzedaży starych grafik i ich współczesnych, aluminograficznych reprodukcji, a wolny czas spędzał na oglądaniu dzieł Leonarda. Po przejrzaniu sterty oryginałów, kupiliśmy u niego kopię XVII-wiecznej mapy Rzymu. Była wyjątkowo ładna, starannie wykonana, pieczołowicie dokumentowała papieski stan posiadania – wtedy panowanie arcykapłanów rozciągało się tutaj wszędzie, w każdej ze 476 parafii, jakie na niej oznaczono, liczbie nieprzypadkowo zapewne przywodzącej na myśl datę upadku Rzymu cesarzy.

- Z Krakowa! – wykrzyknął, kiedy na jego uprzejme pytanie T. powiedział, skąd jesteście. Otworzył oczy szeroko, jakby nagle nawiedzili go aniołowie. Natychmiast rozwiązał się mu język: – Za miesiąc jadę do Krakowa. Widziałem już wszystkie dzieła Leonarda, co do jednego, poza może kilkoma atrybucjami, bo wiedzą państwo, szkoła Leonarda była bardzo płodna i osobiście nie wierzę, żeby jego dziełem był na przykład odkryty niedawno Salvator Mundi. Poza tym na tej wielkiej wystawie w Londynie, gdzie go pokazano, trzeba było się ustawić w kolejce o piątej rano, więc uznałem, że nie dam rady. No więc nie widziałem tego obrazu. Ale widziałem wszystkie pewne oryginały. Wszystkie, poza jednym, poza waszą „Dama”. To była Cecilia Gallerani, kochanka Il Moro, ale to na pewno wiecie. I teraz właśnie do niej jadę.

Potok słów urwał się jednak tak szybko, jak wytrysnął, a wyraz twarzy antykwariusza zmienił się na bardzo niepewny.

- Ale, powiedzcie mi, czy Ona – słowo „ona” powiedział z naciskiem, gdyby pisał, a nie mówił, z pewnością napisałby je z dużej litery – czy Ona teraz jest w Krakowie? Czy można ją w ogóle zobaczyć?

Ona, czyli „Dama”. Mieliśmy dobre nowiny, Ona tam była. Widać było, że niepokoiła go ta spóźniona pielgrzymka, że nasz świat był dla niego obcy – w przeciwnym razie pojechałby do portretu Cecylii dużo wcześniej; „Dama” to jeden z najważniejszych obrazów Leonarda. Teraz, kiedy nas spotkał, kiedy zobaczył, że plan XVII-wiecznego Rzymu, zachwalany wcześniej przez niego jako arcydzieło aluminografii wykonane w kilku odcieniach szarości, trzymam w rękach nie jak egzotycznego kanarka, ale jak mapę własnej duszy, mimo

moich obcych, słowiańskich rysów, rozpoznawanych na Zachodzie zawsze na pierwszy rzut oka, postanowił zasięgnąć języka. Trzeba było mu zatem poradzić, jak właściwie się ubrać. Wypytywał szczegółowo o polską pogodę i o to, jak poradzić sobie w naszym surowym świecie, w którym w marcu, kiedy Wieczne Miasto jest już w pełnym władaniu wiosny, wciąż możliwy jest śnieg.

Poradziwszy mu to i owo, ruszyliśmy dalej na spacer bez celu, z mapą Rzymu zwiniętą w rulon i opakowaną starannie w papier pakowy. Tak znaleźliśmy się nagle w antykwariacie przy murach Watykanu. Prowadziła go starsza kobieta, jedna z tych ciepłych Włoszek, które śmieją się na końcu każdego wypowiedzianego zdania. Zaprowadziła nas do działu z używanymi książkami, pełnego klasyków, wydawanych tutaj regularnie co kilka lat w edycjach dwujęzycznych, kieszonkowych lub oprawnych w skórę. Rzecz jasna, od razu pojawiło się przed nami jakieś rzadkie, łacińskie wydanie Salustiusza z rycinami, za kilkaset euro, do którego, dla porównania, dorzucono kilka innych książek, mniej efektownych i sporo tańszych. Obok piętrzyły się pokreślone tomy „Boskiej komedii”, Plotyn, ilustrowana „Pustelnia parmeńska”, niezliczone inne wydania włoskich przekładów światowej klasyki, niechciane, zakurzone, wrzucone do kosza z książkami za kilka euro. Tragedie zebrane Seneki w oryginale, Cyceron, tomy Liwiusza, za grosze. Niewiarygodna obfitość, dziedzictwo, które pielęgnowano z obowiązku, którego nikt już nie potrzebował, którego było za dużo, bo kto dzisiaj czyta klasyków, zwłaszcza po łacinie.

Koniec końców wygrało jednak miasto, bo miejsca mają przecież sposoby, żeby z nami rozmawiać, przyciągać, wskazywać to, co dla nich istotne:

- Nie mam „Jezusa z Nazaretu”. Wszystkie książki Benedykta są wyprzedane. Proszę spróbować w księgarni watykańskiej – usłyszałam głos sprzedawczyni.

- Tam także nie ma, pytałem – odpowiadał klient. – W ogóle niczego nie ma. Najnowsze „L'Osservatore Romano” rozeszło się na pniu.

Byliśmy niedaleko Placu św. Piotra. Widocznie po krótkim okresie niepewności, spotęgowanym jeszcze przez wczorajszą nawałnicę, wygrała tam już atmosfera sensacji. Półoficjalna gazeta watykańska wychodziła popołudniami, musiała zatem ukazać się poprzedniego dnia wieczorem i pewnie zawierała oficjalną informację o rezygnacji Ojca Świętego. Takie wydanie to rarytas. Spojrzałam na T. porozumiewawczo, wybraliśmy interesujące nas książki, zapłaciliśmy i poszliśmy w kierunku Placu. Wkrótce porwała nas rzeka ludzi. Tłumy były tam zdecydowanie większe niż w niedzielę, a kolejka do Bazyliki o wiele dłuższa, choć we wtorki przecież nic szczególnego się w niej nie działo. Wyglądało na to, że przyszli tu niemal wszyscy turyści przebywający w mieście i niektórzy mieszkańcy, żeby sprawdzić, czy świątynia ciągle stoi, kiedy papież zrezygnował z kierowania Kościołem. Wśród kałuż powoli rozstawiały się stacje telewizyjne. Dziennikarze biegali z mikrofonami, szukali chętnych do wypowiedzi, ludzie rozbiegali się jak spłoszone gołębie, płynął zatem wielojęzyczny potok relacji na żywo.

- Jutro audiencja generalna, a wieczorem, ponieważ przypada Środa Popielcowa, początek katolickiego Wielkiego Postu, odbędzie się ostatnia publiczna msza święta, jaką odprawi Benedykt podczas

swojego pontyfikatu – mówiła do mikrofonu Hiszpanka. – Będzie to jego pożegnanie z wiernymi z Rzymu.

- To Jan Paweł II założył na Watykanie niewielką wspólnotę klauzurową, w której osiadł obecny papież – referował do innego mikrofonu stojący obok ksiądz.

- Nie będzie żadnej ceremonii zakończenia pontyfikatu, Benedykt XVI po prostu opuści swoje apartamenty. Jedynym widocznym znakiem końca pontyfikatu będzie zejście z warty przez gwardię szwajcarską, której zadaniem jest służba głowie Kościoła. Obecnie pokoje, w których Benedykt zamieszka na emeryturze, są remontowane – opowiadał Anglik z plaketką „Eurovision”.

- W połowie marca rozpocznie się tutaj konklawe, które wybierze nowego papieża – dodawał z boku elegancki Włoch.

- Mówi się, że będzie to pierwszy czarny papież w historii – informował ktoś jeszcze inny.

Ludzie na Placu wymieniali się tymczasem jednym, dyżurnym egzemplarzem „L'Osservatore Romano”, nie czytali go jednak, rozkładali jedynie, tak aby było widać stronę tytułową i robili sobie z nim zdjęcia na tle Bazyliki. Rzeczywiście, nigdzie nie można go już było kupić; szczęśliwi nabywcy nosili pod pachami po kilka egzemplarzy, eschatologię w wydaniu gazetowym, rzadki podarek dla rodziny i znajomych. Mieliśmy jednak trochę szczęścia. W księgarni watykańskiej, do której poszliśmy, trwały zapisy, bo za chwilę miał

przyjść niewielki dodruk. Pani odnotowywała długopisem nazwiska chętnych. Swoje, zbyt skomplikowane, musiałam wpisać sama. Kiedy jakiś czas potem wróciliśmy na Watykan, dostałam spod lady kilka zadrukowanych płacht. „Papież kończy pontyfikat”, głosił nagłówek pierwszej strony. Poniżej, pod zdjęciem papieża, symetryczny, regularny strumień liter, bo łacina wygląda przecież w druku inaczej niż jakikolwiek inny język świata, informował o tym, że Benedykt osłabł duchowo i cieleśnie, że siły w ostatnich miesiącach zmniejszyły się w nim na tyle, że uznał się niezdolny do pełnienia posługi i że, pozostając wolnym i w pełni świadomym tego, co robi, deklaruje, że od 28 lutego od godziny ósmej wieczorem tron Piotrowy będzie należało uznać za opuszczony. Quapropter bene conscius ponderis huius actus plena libertate declaro me ministerio Episcopi Romae, Successoris Sancti Petri, mihi per manus Cardinalium die 19 aprilis MMV commisso renuntiare ita ut a die 28 februarii MMXIII, hora 20, sedes Romae, sedes Sancti Petri vacet.

CDN.

Marta Kwaśnicka

Więcej tekstów autorki na jej blogu